

# Zesłanie – relacja Stefanii Szantyr-Powolnej

## cz. 2

[...] Piszę rankiem. Śnieg zawiął okienka mej chaty,  
W izbie mroźno i szaro. Jakiś gość skrzydlaty  
Przed zimnem do lepianki schronił się i ćwierka.  
Ja piszę, a ptaszyna z pod pułapu zerka  
I widzi, jak na papier ciężka łza mi kapie.  
Sople wiszą lodowe u ścian, na okapie,  
I stary mój kożuszek srebrzy się od szronu...  
Jak głucho! bicie serca słyszę jak głos dzwonu! [...]  
(Or-Ot, List z Sybiru)

Stefania Szantyr-Powolna – żołnierz Armii Krajowej, uczestniczka operacji „Ostra Brama”, po zakończeniu działań wojennych rozpoczęła pracę w sekretariacie dyrekcji kolejowej. Została jednak wysłędzona i aresztowana przez NKGB. Przeszła przez więzienie na Łukiszkach, po procesie skazano ją na 10 lat łagrów. Wyrok odbywała w obozach pracy w ZSRR.

Tak Stefania Szantyr-Powolna wspomina transport do Republiki Komi na dalekiej północy w europejskiej części Związku Radzieckiego:

„W czasie podróży był też taki moment, kiedy pozwolono nam wyjść, aby umożliwić załatwienie potrzeb fizjologicznych. Działo się to ku uciechu konwojentów, którzy ustawili się naprzeciwko i zaśmiewali się na nasz widok. Z tego, co wiem, zdarzały się w czasie transportu zgony. Jeśli ktoś zmarł, to ciało po prostu wyrzucano z wagonu.

W Uchcie zawieziono nas do obozu rozdzielczego, z którego jak niewolników rozsyłano więźniów do właściwych obozów. Wraz z koleżankami trafiłam do sowchozu Sedju w rejonie Uchty. W czasie transportu nie dostawałyśmy prawie nic do picia, a karmiono nas kawałkami suszonej ryby. Spragnione, piłyśmy roztopiony śnieg, który jeszcze gdzieś zalegał”.



► Stefania Szantyr (pierwsza z prawej) z koleżankami w Worskucie

Pobyt w sowchozie rozpoczął się od spotkania z naczelnikiem. Była to zarazem zapowiedź trudnego losu, który czekał więźniarki.

„Naczelnik uprzedził nas przed kontaktami z kryminalistkami, zabronił także pożyczania od nich czegokolwiek z uwagi na to, że wszystkie chorowały wenerycznie. Kiedy kładłyśmy się spać, przypinałyśmy swoje ubrania agrafkami do koca, który przykrywał prycze. To jednak nas nie uchroniło, wkrótce zostałyśmy okradzione z ubrań i butów. W zamian otrzymałyśmy łapcie wykonane z łyka i onuce. Zgubienie łapci było karane, najczęściej jednak były one kradzione. Po powrocie z pracy obuwie i onuce były wilgotne, dlatego suszyłyśmy je w suszarniach. Nie raz wstawaliśmy w nocy, aby ich pilnować, ale i to nie pomagało. Mnie także się to zdarzyło [ukradziono mi onuce]. Kiedy

rozpoczął się poranny *rozwod*, wszystkie brygady stawały na placu i pod okiem żołnierzy wychodziły do pracy. Ja musiałam się stawić z bosymi stopami. Jedna z pilnujących cofnęła mnie, abym mogła otrzymać przydział łapci”.

Prace wykonywane przez więźniów w sowchozie miały zwykle charakter sezonowy.

„Pracowałyśmy przy sadzeniu roślin, później wyganiano nas do pracy przy ścinaniu młodych gałęzi brzoź oraz kwiatów, bardzo zresztą pięknych, nazywanych *iwanczaj* (herbata lwana). Nie było to jednak lekkie zajęcie. Norma wynosiła 200 kg na osobę. Samo pokonanie odległości około 20 km do pracy trwało bardzo długo, a dzień pracy był wtedy nienormowany. W efekcie przebywałyśmy poza obozem kilkanaście godzin, a na odpoczynek zostawało już niewiele czasu. Dopiero po śmierci Stalina ustalono, że najwyższa norma pracy to 12 godzin, ale to i tak było dużo”.

Znacznie bardziej wyczerpujące były prace wykonywane w czasie srogiej, syberyjskiej zimy.

„Zimą kierowano nas do wyrębu lasu. Otrzymałyśmy przeszkolenie od naczelnika

**Stefania Szantyr-Powolna** – córka hrabiego Bolesława Ursyn-Szantyra i Emilii z Ostrowskich, ur. 30 lipca 1924 roku w Wilnie, harcerka. W wieku 15 lat wstąpiła do konspiracji. Brała udział w operacji „Ostra Brama”. Została aresztowana przez NKGB w grudniu 1944 roku i poddana brutalnemu śledztwu.



nika, jak się zachowywać i co należy robić. Po opadach śnieg sięgał powyżej pasa. Pierwszą czynnością było zatem usunięcie śniegu spod pnia drzewa, tak, aby można było ściąć je przy samej ziemi. Kolejny etap to pilowanie i rąbanie pnia tak, aby nadać mu odpowiedni, kontrolowany kierunek upadania. [...] Za niewyrobienie normy groził brak posiłku oraz karcer. Na samym początku kompletnie nie potrafiłyśmy poradzić sobie ze ściętym drzewem. Wtedy zlitował się nad nami konwojent, który ściągnął dla mnie i dla koleżanki, z którą pracowałam, drewno z utworzonych już kubików”.

Nie tylko mróz i praca ponad siły stanowiły zagrożenie dla życia, często większym niebezpieczeństwem mógł się okazać współwięzień.

„Pamiętam, jak pracowałam w parze z Rosjanką, kryminalistką. W czasie krótkiej przerwy podbiegła do niej inna więźniarka, także Rosjanka, i zadała jej siekierą śmiertelny cios w głowę. Dopiero po chwili dotarło do nas, co się właściwie stało. Pilnujący nas konwojent kazał nam się zgromadzić, zebrać narzędzia i ruszyliśmy do obozu, niosąc zamordowaną Rosjankę. Według mnie to nie była chęć zemsty czy porachunki. To były metody wyzbycia się przymusu wyjścia do ciężkiej pracy. Sprawczynie po takim czynie były zabierane do więzienia, przechodziły śledztwo, ale otrzymywały także wyżywienie. Śmierć czyhała na nas na każdy krok, nawet w baraku. Więźniarki powodowane niechęcią wyjścia do pracy potrafiły zabić siebie nawzajem”.

Życie obozowe rządziło się własnymi prawami:

„W niedługim czasie po przyjeździe do obozu zostałam obudzona w nocy przez strażnika i poprowadzona rzekomo na rozmowę z naczelnikiem obozu. Zdziwiło mnie natomiast pomieszczenie, w którym owa rozmowa się odbywała, przypominało raczej fryzjernię niż gabinet naczelnika. Mężczyzna, z którym rozmawiałam, oświadczył, że upatrzył mnie sobie na swoją niepisaną »obozową żonę« i że z nim niczego mi nie zabraknie. Usłyszawszy to, wyprostowałam się i odparłam, że on nie zna Polek. Żadna z nas nie zgodzi się na

taką sytuację, ślub zawiera się w kościele, a dwoje ludzi musi łączyć miłość. On tylko się roześmiał i powiedział, żebym się namyśliła. Następnego dnia wezwał mnie prawdziwy naczelnik obozu. Kiedy wyjaśniłam mu, co zaszło minionej nocy, uczulił mnie, że człowiek, z którym rozmawiałam, to największy kryminalista w obozie. Na szczęście nic więcej z tej sprawy nie wyniknęło.

Pamiętam także inną sytuację, która miała miejsce w czasie pracy w lesie. Rano otrzymywałyśmy mały przydział chleba. Nigdy nie było wiadomo, czy zjeść go od razu, czy zabrać ze sobą na później. W czasie przerwy rozmawiałyśmy i śmiałyśmy się. Wtedy podbiegł do nas strażnik i zabronił nam się śmiać. Jedna z koleżanek zapytała: »a co, strzelać będziesz?« Będę – odpowiedział. No to strzelaj! I rzeczywiście, strażnik otworzył ogień, zabijając jedną osobę, a drugą raniąc. Brygada została zdjeta z pracy, a strażnik otrzymał nagrodę za to, że rzekomo uniemożliwił próbę ucieczki”.

Pomimo trudnych warunków życia, braku wystarczającej ilości pożywienia i wyniszczającej pracy Stefania Szantyr nie straciła ducha ani godności.

„W sowchozie Sedju zbliżała się pierwsza wigilia Bożego Narodzenia w niewoli. Wiedziałyśmy, że ta pierwsza Wigilia z dala od naszych domów, z dala od rodzin i od ojczyzny będzie trudnym przeżyciem. Postanowiłyśmy wtedy, że będziemy silne, nie będziemy się roztkliwiać, a myślami powędrujemy do rodzinnych domów i Wi-

gilię urządzimy wspólnie. Zgromadziłyśmy nasze racje obiadowe, które składały się z łyżki kaszy okraszonej kroplą oleju. Zostawiłyśmy także chleb, który był dla nas jakby opłatkiem. Usiadłyśmy przy stole, zaśpiewałyśmy ułożoną przeze mnie piosenkę i złożyłyśmy sobie życzenia, łamiąc się chlebem. Potem przyszedł czas na kolędy. W tym momencie czułyśmy się silne i mocne, czułyśmy, że wytrwamy, że zniesiemy trud i te wszystkie upokorzenia. Wokoło ustawiły się Rosjanki, mieszkanki baraku, podziwiały nasze kolędy i ze zdziwieniem patrzyły, że w tych warunkach możemy się czuć szczęśliwe. Kiedy rozchodziliśmy się już na swoje miejsca, do baraku wkroczyli żołnierze. U mnie przeprowadzono rewizję, w czasie której znaleziono spisana przeze mnie na kartce piosenkę. Tak jak stałam, w sukience, odprowadzono mnie do karceru. Jedna z koleżanek wyprosiła u komendanta, aby pozwolił mi ubrać się w watowaną kurtkę, którą nosiłyśmy na co dzień. Karcer był małym, zimnym pomieszczeniem, w którym nie było oświetlenia. Niska temperatura powodowała, że włosy przymarzały do ściany. W takich warunkach przesiedziałam dziesięć dni. Wizytę w karcerze przyplaciłam pobylem w szpitalu”.

W wyniku urazu doznanego w czasie pracy w lesie, Stefania Szantyr została skierowana do szpitala obozowego w Wietłosianie koło Uchty, w którym po niedługim czasie otrzymała również przydział do pracy w laboratorium. ➤

Fot. ze zbiorów Stefanii Szantyr - Powolnej



➤ U państwa Jackiewiczów; to oni podali Stefanii Szantyr pomocną dłoń tuż po jej wyjściu z obozu



„Był to ogromny obóz podzielony na kilka części. Jedna zona to była strefa robocza, gdzie znajdowały się warsztaty krawieckie, stolarskie itd. Druga zona to baraki męskie, a tuż za ogrodzeniem ulokowano dwa baraki żeńskie. Z drugiej strony prowadziło wąskie przejście do bardzo rozległej strefy szpitalnej, gdzie mieściły się różne oddziały: interna, chirurgia, stomatologia, dermatologia, psychiatria, rentgen. Personel szpitala rekrutował się z profesorów, którzy w obliczu wojny niemiecko-sowieckiej nie opuścili swoich placówek (tym samym sprzeniewierzając się w oczach władzy swojemu narodowi) oraz pacjentów. Byli też tacy, którzy zakończyli wyroki, ale zostali jako osiedleńcy. Zatem fachowość personelu stała na wysokim poziomie. Główny lekarz, zapewne z dużymi ambicjami, co jakiś czas organizował zjazdy lekarzy z Republiki Komi. Ponadto personel był nam, Polkom, bardzo przychylny”.

Są jednak i dużo trudniejsze wspomnienia z tamtego obozu.

„Aby przejść do strefy szpitalnej z baraku żeńskiego, trzeba było minąć barak męski. I właśnie pewnego razu idąc do pracy, mijalam narożne okna tego baraku, a w tym czasie bandziory, bo tylko tak ich można nazwać – mieli po wiele wyroków na swoim sumieniu – grali w karty. Z nudów grali w karty o pierwszą osobę, która przejdzie koło ich okien. I to byłem ja. Dowiedziałam się o tym od lekarza stomatologa. On był Ormianinem i ci kryminaliści bardzo go cenili. Wiadomość ta bardzo szybko obiegnęła cały obóz. Lekarz główny nie bardzo wiedział, co począć, zabronił mi poruszania się po obozie poza szpitalem i zawiadomił naczelnika obozu. Ten przyznał, że niestety jest bezradny w tej sprawie. Cały świat obozowy był terroryzowany przez kryminalistów. Ale stał się naprawdę cud. Jeden z bandziorów zakochanych w siostrze oddziałowej i zarazem mojej przyjaciółce, Estonce Made Tikerpuu, obiecał, że w prezencji dla niej odegra mnie w karty. To jest niepowtarzalna historia”.

Niedługo potem Stefania Szantyr ponownie została skierowana do transportu. Tym razem do Workuty. Tam było jeszcze gorzej niż w poprzednich miejscach.

„Nie mieliśmy nazwisk, tylko numery.

Numery, które były naszyte na kurtkach, na bluzach, na czapkach. Traktowanie było okropne. Zwracano się do nas, wywołując numery. W nocy odbywały się sprawdziany. Wstawaliśmy z łóżek, oczywiście na boso, czekając na zmrożonej podłodze, aż zostanie wywołany konkretny numer. Wtedy należało głośno wypowiedzieć swoje imię, nazwisko i *otczestwo*. [...]

Szczególnie uciążliwe były rewizje. Rewizje ogólne polegały na tym, że wyganiało nas z baraku, wywracano nasze łóżka, pościelenie i sprawdzano każdy, nawet najdrobniejszy skrawek papieru. Ale gorsze były rewizje osobiste, w czasie których kazano nam się rozbierać. Bardzo despotyczne były wtedy kobiety – strażniczki, które krzyczały i poniżały nas”.

W ciągu dnia – katorżnicza praca.

„Najgorsze prace wykonywano przy budowie kolei, która miała połączyć Europę z Azją. Wożono nas na znaczną odległość, wokół tylko tundra, teren podmokły, poruszanie możliwe było jedynie po kępach trawy. Poza nimi woda, dochodząca do głębokości dwóch metrów. Nasza praca polegała na tym, że pomiędzy tymi »trawistymi wyspami« musiałyśmy usypywać żwir, kamienie, tak aby stworzyć możliwość dojazdu dla cięższych maszyn. [...] Rozładunek jednej platformy to była norma dzienna dla dwóch osób. W tych trudnych warunkach dokuczały nam jednak najbardziej komary i meszki. Nie sprawdzały się żadne zabezpieczenia, żadna ochronna odzież. Prace przy tej budowie nazywano drogą donikąd. I w rzeczywistości nigdy ta trasa nie została ukończona”.

Zdarzało się, że więźniowie podejmowali próby przedostania się na wolność.

„Wśród kobiet chyba nie zdarzały się próby ucieczki, ale z opowiadań wiem, jak te próby wyglądały. Nawet jeśli ucieczka za druty się powiodła, zostawały do pokonania jeszcze tundra, tajga i tropiące uciekinierów psy. Karą za ucieczkę było rozstrzelanie śmiałków, a ich ciała leżały przez kilka dni przy branie głównej, ku przestrodze.

Kiedy w roku 1953 dotarła do nas wiadomość o śmierci Stalina, chciałyśmy wszystkie tańczyć z radości. Oczywiście

nie wolno nam było, bo za to groził karcer, a nawet dodatkowy wyrok. Natomiast cały personel obozowy, wszyscy chodzili bardzo smutni i zapłakani. Później wśród więźniów nie poruszało się już tego tematu. Poczuliśmy jednak, że racja chleba się zwiększyła, praca zaczęła być normowana do 12 godzin. To była odczuwalna zmiana”.

Stefania Szantyr wykazała wielką determinację w czasie pobytu w niewoli. Także tam podjęła ważne decyzje, które zadecydowały o jej przyszłym życiu.

„Był taki okres, że byłem jedyną Polką w obozie. Nie mogąc rozmawiać w ojczystym języku, wychodziłam przed barak i sama do siebie mówiłam różne wiersze. Najbardziej lubiłam utwór Or-Ota List z *Sybiru*.

Właśnie tam, na Workucie, dałam sobie słowo honoru, że zostanę lekarzem. Pacjenci w szpitalu często umierali, brakowało leków czy wręcz nie były one dostępne. Do wysokiej śmiertelności przyczyniały się także głodowe racje żywnościowe, a pracę utrudniały głodowe obrzęki ciała. Bardzo częsty był także szkorbut, czyli tzw. cynga. Zwłaszcza w sowchozie Sedju. [...]

Któregoś dnia powiedziano mi, że moja katorga dobiega końca. Skierowano mnie do innego, męskiego obozu i umieszczono w budynku, w którym przebywali więźniowie przygotowujący do zwolnienia. Było

► Jeszcze zesłanka, już nie łagierniczka: praca w laboratorium w Workucie



nas tam kilkanaście kobiet. Kiedy przebywający w obozie kryminaliści dowiedzieli się o naszej obecności, zaczęli niszczyć płot okalający budynek, a potem dach. Przechwalali się przy tym, co z nami zrobią, kiedy wdrą się już do środka. Sytuację uratował oddział wojska, który przybył na miejsce i pod groźbą użycia broni zmusił bandytów do odstąpienia”.

W obozie tym przedstawiono Stefanii Szantyr do podpisu dokument stwierdzający, że po opuszczeniu obozu będzie mieszkanką Workuty i obywatelką ZSRR. Nie uzyskawszy jej akceptacji, zagrożono, że w ogóle może nie opuścić obozu. Po tygodniu przedstawiono jej inny dokument, tym razem tymczasowego pobytu w Workucie.

„Wysłałam wreszcie na upragnioną wolność. Nie byłam już więźniarką, ale byłam zesłanką. Wraz z moją przyjaciółką, Janką Zubą, zamieszkałyśmy u polskiej rodziny. Po krótkim czasie otrzymałam posadę w laboratorium na terenie osiemnastej kopalni. Z pomocą państwa Jackiewiczów znalazłam mały pokój, szerokości tapczanu, i tam zamieszkałam wspólnie z trzema koleżankami. Ten mały i ciasny pokój w rzeczywistości był kochanym przez nas miejscem”.

Zesłani Polacy starali się utrzymywać ze sobą kontakt, wspierali się w trudnych chwilach. Często miejscem spotkań, w czasie których m.in. wspólnie śpiewano patriotyczne pieśni, były mieszkania państwa Weberów i Jackiewiczów.

„Kiedy [po jednym z takich spotkań] wróciłam do mojego małego pokoiku, znalazłam wezwanie do biura NKGB w sprawie powrotu do Polski”.

Wezwanie to było wynikiem kilku wizyt Stefanii Szantyr we wspomnianym biurze. Droga powrotu nie była jednak prosta. Warunkiem koniecznym była informacja od rodziny w Polsce, która zgodziłaby się przyjąć na swoje utrzymanie repatriantkę.

„[Mój kolega] Olek Zarzycki miał już w tym czasie kontakt ze swoją rodziną w kraju. Zawiadomiona o sprawie matka Olka dała ogłoszenie w prasie, poszukując kontaktu z rodziną Szantyrów. Właśnie w taki sposób moja mama dowiedziała się,

Fot. ze zbiorów Stefanii Szantyr-Powolnej



► U państwa Weberów: kawałek Polski na zesłaniu

co się ze mną dzieje. Muszę tu wspomnieć, że próbowałam odnaleźć mnie już wcześniej i za pośrednictwem Czerwonego Krzyża otrzymałam informację, że umarłam w obozie. Jednak mama nigdy w to nie wierzyła”.

Po nawiązaniu kontaktu rozpoczęły się starania o wydanie pozwolenia na powrót. Odpowiednie dokumenty należało odebrać w mieście Syktywkar. Po załatwieniu formalności i wszystkich niezbędnych przygotowaniach nadszedł dzień powrotu.

„Z każdym, kto wyjeżdżał, żegnaliśmy się zawsze z łezką. Ja pożegnałam się, z kim tylko mogłam. Dostałam mnóstwo adresów w Polsce z prośbą, aby przekazać wiadomości rodzinom. Pożegnania były bardzo, bardzo wzruszające. W Moskwie wsiedliśmy [z innymi zesłańcami] do pociągu, który miał jechać przez Terespol. Kiedy zobaczyłam białe-czerwone słupy graniczne zaczęłam płakać. Nigdy, przez jedenaście lat pobytu w tych moich »uniwersytetach«, nie było u mnie łez. Do tej pory. W Warszawie zawiadomiłam o powrocie moją mamę, umówiliśmy się na spotkanie na dworcu w Tczewie. Kiedy tam dotarłam, peron był zupełnie pusty. Jedyne z oddali szła ku mnie jakaś kompletnie siwa staruszka, moja mama. Nie poznała mnie. Kiedy byłyśmy od siebie w odległości kilku kroków zawołałam »Mamusiul!« i wtuliłam się w jej rozpostarte ramiona”.

Ojciec umarł rok po aresztowaniu córki. Po powrocie do kraju Stefania Szantyr

przeniosła się do Gdańska i tam dzięki pomocy wielu życzliwych osób znalazła pracę w laboratorium. W 1956 roku została przyjęta na studia w Akademii Medycznej, które następnie ukończyła z celującymi wynikami. Bez problemu nawiązała kontakt ze znacznie młodszymi kolegami i koleżankami, spotkała również kilku wykładowców poznanych jeszcze w czasach wileńskiej konspiracji. Na ostatnim roku studiów poznała swojego przyszłego męża, z którym wzięła ślub w 1959 roku. Mieli troje dzieci.

„Kiedy spoglądam wstecz, myślę, że całe moje życie było ogromnie ciekawe. Spotkałam wielu interesujących i serdecznych ludzi. Dobrze to było widzieć w obozie, ponieważ tam charakter człowieka był obnażony. W konspiracji natomiast wspaniała była wspólna praca pod egidą tych samych wartości: Bóg, Honor i Ojczyzna. O tym zawsze trzeba mówić, to są wartości niezwykle, to są podstawy i to te wartości pozwoliły się nie załamać, przetrwać, chociaż wielu zginęło na tej drodze. Niestety. Te wysiłki trzeba uchronić od zapomnienia. I należy się cieszyć tym, co mamy – wolną i niepodległą ojczyzną”.

oprac. Piotr Wiejak

**Stefania Szantyr-Powolna**  
**Sygnatura:** N-0760/2014

**Czas nagrania:** 3 godziny  
Archiwum Historii Mówionej BEP IPN,  
Rafał Pękała, Tomasz Piotrowski,  
Piotr Wiejak